ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **Niedziela 19 sierpnia 1934 r.** **Nr. 34**

Zdzisław Broncel

„Pon wieszcz“

Odwiedziny u Jana Wiktora w Szczawnicy

Siwy. Ale jeszcze nie tą siwizną białą, mleczną. Jan Wiktor jest w sile wieku i jego siwa czupryna, gęstwa włosów zaczesanych wtył, rozrzuconych nad czołem, jest raczej popielata i srebrzysta. Gdy z dalszym biegiem lat Jan Wiktor zobaczy jeszcze więcej smutku na ziemi, gdy jeszcze więcej spotka ludzi nieszczęśliwych, zszarpanych przez złą dolę i gdy wówczas włosy zbieleją mu zupełnie — to przecież nie zmieni to chyba jego postaci. Męskiej, barczystej, ciężkiej.

Ręce ma wielkie i silne, a tylko tak dla niepoznaki, na zwykły spokojny dzień zwisają leniwo w dół, albo kładą się żylastemi, ciemnemi dłońmi na kolanach. Jest wysoki, a tylko się pochylił. Jest pisarzem o dużym rozgłosie, o rzetelnej zasłudze społecznej, „Wierzby nad Sekwaną“ dały mu nieposlednie imię — a tylko wydaje się taki szary i zwyczajny i prosty.

Dlatego, że jest skromny ,że pisanie uważa za służbę i pracę, a nie za zdobywanie sławy, że nie żyje w świecie kawiarnianych pochwał, dyskusyj, zebrań, publicznych występów i fabrykowania sobie reklamy.

Oto zaprasza nas do swego domu. Na poddaszu dwupiętrowej willi otwiera drzwi i szeroką dłonią wskazuje wejście.

Trzeba uwolnić krzesło z paki papierów i ze sterty książek. Jan Wiktor siada na łóżku, opiera się o ścianę. Stół zawalony jest gazetami i notatami. Właściwie są to dwa stoły zsunięte jeden do drugiego, ażeby mogły pomieścić wszystkie rzeczy, jakie codziennie wyciągnie się z półek i ciśnie na stół. Żeby były pod ręką. Musi być też miejsce na arkusze żółtawego papieru o kancelaryjnym formacie. Wiktor pokrywa go drobnemi literkami — sieje po nim czarnym maczkiem pisaniny. Co który zapisze, odkłada na kupę do innych. Tak powstaje powieść.

Kiedy narośnie sterta rozdziałów i rękopisy zawadzają przy pracy, odkłada się je na stolik w kąt pokoju. Tam leżą pod opieką drewnianej figury Chrystusa, rozpiętego na krzyżu. Zczerniały świątek o twarzy dziwnej, zadumanej i bardzo bolesnej ,patrzy oczami głęboko w człowieka. Nie sądzi, nie wyrzuca win, nie przypomina grzechów, tylko mówi — widzicie mnie, że jestem na krzyżu. Co mam więcej uczynić?

A pod sufitem, na wieku szafy z książkami dwa anioły ze złotemi skrzydłami w niebieskich sukienkach, pulchnemi rękami wspierają zafrasowane figury świętych. Stoi przy nich inny świątek w czarnym habicie, przepasany sznurem — może nawet i św. Franciszek, siedzą Chrystusiki gipsowe z głowami opartemi na prawej ręce, wreszcie w rogu ściany leżą obrazy, malowane na szkle.

Jedna ściana pokoju — to łóżko, druga i trzecia — to książki, czwarta, to wyjście na balkon i widok na całe Pieniny.

Dom, w którym mieszka Wiktor stoi prawie na szczycie wzgórza szczawnickiego. Niedaleko od zakładu zdrojowego. Z pokoju Wiktora ogarnia się wzrokiem po prawej stronie nagą, polonną górę z krzyżem, po lewej kładą się jeden za drugim lesiste, ciemne grzebienie Pienin. Gdzieniegdzie sterczą na grzbiecie samotne drzewa, w lesie szczerbą znaczy się biała lub czerwona skała, w dali dopiero, słusznie wyniesione nad resztę, zazębiają się z błękitem nieba trzy szczyty Trzech Koron.

Kiedy jest słońce wyglądają biało, kamiennie i świetliście i są, jak korona Władysława Łokietka na grobowcu w katedrze wawelskiej, w dzień pochmurny i deszczowy, chowają się w puzdro chmur, ociągają mgłami i w bezbarwnem niebie majaczą samym cieniem — przywidzeniem.

Twarzą w twarz z Pieninami Jan Wiktor wybrał sobie siedzibę. Posiada jeszcze i drugi dom — w Krakowie, taksamo pokój na poddaszu, którego ozdobą są książki, góralskie świątki i góralskie malowania na szkle. Nic dziwnego, Wiktor zrósł się z temi stronami, nie pamiętam, od ilu już lat mieszka w Szczawnicy, ale będzie tego około dziesiątka.

Pukanie do drzwi. — Proszę! Z pokłonami, z gestem, wchodzi dwóch gazdów. Zdejmują czarne kapelusiki z koralikami — my tu przyszli do pona wieszcza...

Wiktor ma rozsądzić spór. Jest panem wieszczem, więc osobą uczoną, niech sądzi. Ba, do „pana literata“ schodzą się nawet żydzi, niepogodzeni przed rabinem. Czapkują, wiewają chałatami, gładzą brody, skubią pejsy, w ostrożnych słowach wyłuszczają sprawę: niech on powie...

Wiktor chodzi po wsiach. Zagląda do biednych chałup, odwiedza osiedla na halach i podgórzach, tam, gdzie największa bieda, przygląda się lekcjom w szkole i wyprowadza wraz z bacą owce na wiosnę.

— Ani się przypuszcza — mówi zcicha i z przejęciem — jaki tu jest cudowny świat. Ile starych wierzeń, ile jakichś zamierzchłych wiar, obrzędów i sposobów wymyślonych przez koczowniczych pasterskich przodków. Chrześcijaństwo pozmieniało przesądy, połączyło je z nawykami chrześcijańskiemi, ale nie wypleniło do cna dawnego pogaństwa i czarodziejstwa. Cóż, dziwimy się, że chrześcijaństwo jeszcze nam nie dość zapadło w duszę i że bez mała przez dwa tysiące lat nie przerobiło świata, a tu przecież trwają zewnętrzne ślady pogańskie.

— Czy Pan zmówił się kiedy z bacą na wyjście w góry?

— Nawet dokładnie zapisałem wszystko, com widział. Najpierw w zagrodzie baca kropi owce jedliną i pokrzywą, maczaną w wodzie. „Cetyna jedli dlatego, bo to najpachniejszy las, żeby mleko pachło pachnością lasu“. Cetyna — to gałąź jedlinowa, zerwana w w wigilję św. Wojciecha. Pokrzywa ma znów dwie siły: gorycz i smak, więc broni zdrowia, odgania choroby. Woda do kropienia też nie jest zwyczajna. W dzień Bożego Narodzenia, w samo południe, gdy ksiądz Mszę św. odprawia, trzeba z zamarzniętej rzeki odłupać trzy kawałki lodu, położyć do miski, z której przez rok jada „cała familja“, miskę ustawić na piecu, jak się woda stopi, zlać do flaszki i schować. Wyciągnąć ją z komody dopiero w Wielką Sobotę, ugotować w niej wielkanocne jajka i poświęcić razem ze „święciliną“.

— Jak już baca owce pokropił —opowiada dalej Wiktor— wtedy przyklęka w świetlicy przed obrazem: „Wybieram się z Panem Jezusem — tak się modli — za góry, za lasy, żebyś Panie Boże dał zdrowie mi i żywinie“. Na wóz naładzili tymczasem wszystkich statków, potrzebnych przy udoju i na halnem gospodarstwie; końcem bicza mały krzyż naznaczyć koniom przed kopytami, splunąć trzykrotnie jak trzeba i gotowe — można ruszać w drogę.

— Teraz dopiero idzie rzecz najważniejsza. Zakładanie koszaru. Koszar to jest ogrodzenie w hali dla owiec. Nie byle jak trzeba je uświęcić i zaczarować, żeby się mleko darzyło i owce nie ginęły. Z porwanej przez wilka owcy, albo ze zgubionej baca się nie wykupi, nie uda mu się powiedzieć, że owca zdechła. Jak sama z siebie padnie, musi baca odnieść do wsi uszy na dowód.

— Więc przy koszarze mają być takie ciekawe obrzędy...

— A tak. Dawniej koszary dobrze zakładał Guś z Krościenka, czarodziej, dostawał za to ser z całego pierwszego podoju. Dziś baca musi sobie sam radzić. Koszar zawsze zaczyna się stawiać „od wychodu słońca“. Ziemię znaczy się krzyżem, okala kołem rysowanem święconą kredą. Najważniejsze jest wbicie pierwszego palika ogrodzenia. Przy wbijaniu musi baca trzymać palik między dwiema gruszkami woskowemi, ukradzionemi z wielkiej



Baca kropi owce wodą z chrzcielnicy

świecy wielkanocnej, z „paschy“ w kościele.

Oto owce trzeba jeszcze skropić wodą, musi to być woda podebrana z chrzcielnicy z miejsc odpustowych. Baca macza jedlinę w wodzie, pryska wodą na kierdel i powiada: „Wodzicko święta Panienki Maryji, ty wodzis góry, lasy, selejakie korzenie, obmyj moje nędzne stworzenie“. Jak pokropił, zabiera się do kadzenia. Ostrugał trzy drobiny z owych świętych gruszek, trzy drobiny z sopla wosku, kapiącego ze świecy płonącej na ołtarzu św. Trójcy, rzucił trzy włókna z kapy kościelnej, trzy wiórki z ziół: ze świńskiego korzenia, z żółtego ziela, z czertowca — a zbiera się to ziele na „babilej górze“, albo w Pieninach w przeddzień św. Wojciecha — teraz układa na desce dziewięć węgielków z ogniska, juhas dmuchnie, wystrzeli dziewięć płomyków, baca je zaraz zasypie okruchami ziela i wosku, wolno podniesie się wonny dym. Rozpoczyna się okadzanie. Baca trzy razy z dymiącą deską obchodzi dokoło owiec, przyklękając na każdym rogu czworokątnego koszaru.

— Czy na tem kończy się czarowanie i odżegnanie uroków?

— Jeszcze nie: Zwykłe życie na hali zacznie się dopiero po udoju. Pierwszy udój najważniejszy, daje wróżbę na całe bacowanie. Zanim zaczną doić, juhasy trzy razy chuchają w dłonie i trzy razy się przeżegnają, żeby wymionka nie parszywiały, żeby ręce były dla owiec szczęśliwe. Podstawią putyrę, nakryją płótnem. Baca trzy razy zeskrobie soli z grudki dziewięciokroć poświęcanej.

Kiedy wreszcie pierwsze mleko przeciekło przez płachetkę, osiadając kroplami na płótnie (niech się mleko bacy trzyma, jak te krople płótna) baca zrobił krzyż, wymieszał mleko długą trzepaczką, którą trzy razy przeciągnął pod lewą pazuchą. Wsadził ręce w mleko, ugniótł w mleku grudkę sera i powiada: Mocie, dziś dla ludzi, jutro będzie dla pona Jezusa.

— Co to znaczy?

— Że jutro poślą serek księdzu do kościoła.

— Czy pan nie myśli opisać życia górali? Już to, co pan teraz opowiedział, starczyłoby na ciekawe karty do książki.

— Piszę, pewno, że piszę — ożywia się Wiktor,—moc się z tego robi reportaży, artykułów, a po drodze tych drobnych pisanin zbieram materjał do powieści. Chciałbym stworzyć powieść o dwóch pokoleniach. Na tle życia starych pokazać... dzieci. Kiedy



Dzieci ze szkoły powszechnej — wśród nich Kasia, co jadła „ziemniocki“

ojcowie odprawiają obrzędy po halach, dzieci chodzą do szkoły powszechnej, uczą się czytać, pisać, geografji, polskiej historji, a pani nauczycielka przyzwyczaja ich do takich rzeczy, jak i chustka do nosa.

— Nie patrzą tu na to źle? Czy aby nie jest tak, jak w gadce o kmiotku Roztropku, co się chwalił, że co on na ziemię strząchnie, to panowie zawijają w chustkę i w kieszeń kładą?

— Szkoła ma wielkie poważanie. Rodzice sami pędzą dzieci do szkoły. Pamiętam przecież, jak to było za moich szkolnych czasów. Aby książki pod pułap i dalej, lecieć w pole. Dziś jest inaczej. Dzieciaki garną się do szkoły, a starzy rozumieją, że dziecku jest potrzebna nauka. Żeby pan tylko popatrzył, jak tu wygląda taka „wywiadówka“...

— Pan pewno często zachodzi do szkoły, skoro pisze pan powieść o góralskich dzieciach?

— Dostałem pozwolenie z kuratorjum, nawet na bywanie na lekcjach. Ułożyłem sobie plan, żeby odwiedzać szkołę, począwszy od pierwszego dnia nauki. W powieści właśnie ma się rzecz zacząć od rozpoczęcia roku szkolnego. Doprowadzę ją do wigilji, będzie to jakby pierwszy tom — jesień. Może będę pisał i dalej — chciałbym, ale nie wiem, nie można tak sobie na przyszłość układać. Nie mogę się spodziewać, co mi przyszłość przyniesie. Teraz przecie, to ten temat pali mi się w rękach. Ledwo miałem pisać mały obrazek z życia szkoły, a tu mi się wszystko tak rozrosło, tak roztrzaskało szeroko. Wprowadzam dzieci, wprowadzam młodą wieś i dawny świat starych. Tej wiejskiej starości należy się osobne miejsce i osobne współczucie. Nie daj Boże, jaka ciężka jest starość na wsi. Synowie mówią o ojcu - dziadydze: żeby się już raz stracił, niepotrzebna łyżka przy misie. Twardzi są, bo walczą z biedą. Ząb za ząb szarpią się z nędzą.

— Toż ta nędza musi i w dzieciach się odbić?

— Pewnie, że się odbija. Zaciekawiło mnie, co też dzieci jedzą. Poprosiłem nauczycielkę, żeby mi dała takie wypracowanie: co jadłem na rano, na obiad, na wieczerzę. Przejrzałem potem odpowiedzi. Prawie wszędzie pisało rosół, albo cyr, albo też kapuśniarka. Trzeba dopiero wiedzieć, co jest poza temi nazwami. Cyr jest poprostu mąką rzuconą na gorącą wodę, kapuśniarka — wodą z kapustą, a rosół — pożal się Boże nad tym chłopskim rosołem — jest to odwar z ziemniaków, na który się puszcza kulkę łoju baraniego. Charakterystyczne, że dzieci żydowskie odpowiadają inaczej: jedzą tyle, ile chcą, piją mleko, kawę, zajadają jajka i piszą w swoich zeszytach, że zawsze, jak poproszą, dostają jeść.

— Czyż polskie dziecko ciągle ma ten „rosół“?

— Jest tu taka dziewczynka. Widzi pan ją na fotografji. Nazywa się Kasia. Pytam się jej — Kasiu, co jadłaś? — Ziemiocki — trzepie i śmieje się?—A wczoraj? — Ziemniocki — i założyła rączki za pazuchę. — A omaszczone? — Mama nie mają omasty. — A z mlekiem jadłaś? — Jadłam! — A kiedy? —Łońskiego roku... —i rezolutnie podnosi wesołą buzię.

To nic jeszcze. W górach, tam, gdzie ze dwa razy na rok zejdą do Krościenka, albo do Szczawnicy, na wiosnę nędza jest straszna. Spotkałem dziecko jedzące korę bukową zamiast chleba... Ach, żeby te moje słowa były krzykiem, czy ostrzeżeniem! Żeby dotarły do ludzi! Piszę książkę, bo może nią ludziom pomogę, ale ważniejsza jest łyżka strawy dla biedaka, niżli książka. Książka, to jednakże jest ten luksus, to masło, a cóż mówić o maśle, kiedy chleba niema, nawet i razowego. Literatura musi być na usługach życia. Za to, że jest tym luksusem, musi się wypłacić ludzkiej biedzie walką o krzywdę ludzką!

— „Wierzby nad Sekwaną“ są jednym płomiennym protestem. To nawet więcej czyn społeczny, niż czyn literacki. To przedewszystkiem wydarty kawał życia, a potem dopiero książka. Pan chyba ma wielką radość w pisaniu, skoro może pan służyć dobrej sprawie właśnie tak, jak „Wierzbami nad Sekwaną“?

— Za „Wierzby nad Sekwaną“ toż to było na mnie ataków! Mówiono, że przesadził, że przekoloryzował. Miałem tylko nagrodę w tem, że we Francji, w fermach i w kopalniach brano tę książkę, jak wielką osłodę i pociechę. Nareszcie mówiono — ktoś się za nami ujął. A w „Wierzbach“ prawie wszystko jest prawdą. Zwiedzałem więzienia, rozmawiałem z adwokatkami polskiemi, poznałem owe zapadłe szynczki, gdzie się schodzą emigranci. Wystarczy powiedzieć, że paryżanie niektóre ulice nazywają „polskiemi“, bo po piętnaście polskich dziewczyn spotka się na jakiej ulicy. Ten to eksport hańby idzie z naszej polskiej wsi. Zaczyna się od wyjazdu na dorobek, a kończy na prostytucji, na zatracie.

Kiedy życie tyle ma w sobie nieszczęścia, największą radością dla pisarza jest otrzeć choć jedną łzę. Spośród całej swojej pracy literackiej najdumniejszy jestem z pewnego skromnego artykułu. Zauważyłem w szkole, że jakiś chłopiec ulewał herbatę ze śniadania do butelki. Poszedłem potem za nim, gdy wychodził ze szkoły — pokazało się, że niósł herbatę dla chorej matki. Matka ciężko chora nie mogła nic jeść i żyła tylko tą herbatą, którą przyniosło jej dziecko. Dzięki artykułowi zebrałem 1400 złotych. Wejdzie ta nieszczęśliwa rodzina do mojej powieści.

— Widzę, że pan bardzo wiele bierze z obserwacji?

— Tak. Piszę to, co widzę. Jeśli nie zaobserwuję, a piszę, toteż jakoś tak się staje, że to jest zgodne z rzeczywistością. Nie wiem, jaka tego przyczyna, ale mam dziwne widzenie prawdy. Komponuję powieść zdarzeniami i obrazami. Mało jest akcji w moich powieściach, to jest zresztą ich bieda, najważniejsze jest samo słowo. Słowo takie, żeby było prosto z serca. Potem, kiedy czytam wydaną już książkę, jest mi nieswojo, że to ja napisałem. Czasem jestem tem przygnębiony, czasem znów mam radosne niespodzianki. A prawdziwa radość —to jak panu mówiłem—że słowo pójdzie z serca i trafi do serca.

— Pracuję — nasępia się Jan Wiktor i waży w głębi rzecz, którą ma powiedzieć — nad narodzinami Judyma. Chcę, żeby się narodził Judym, ale inny. Taki, coby tę rozdartą sosnę zwalił, bo ona już do niczego, nikomu nie potrzebna, i rzucił ją na ogień, ludzie mieliby przyczem strawę ugotować, a biedak mógłby się ogrzać przy niej...

Mógłby się ogrzać... Czyż Wiktor nie zwala tej sosny? Czyż nie grzeje ludzi własnem sercem? Jaka jest tajemnica tego człowieka współczującego ludziom i zwierzętom, nawiedzającego chorych i broniącego gniazda ptaków przed srokami, mieszkającego wśród góralskich świątków, zwanego przez górali „ponem wieszczem i składającego swoje zapisane kartki pod frasobliwym Chrystusem...

Ano, chyba dobroć. Chyba te wcześnie posiwiałe włosy. Chyba praca wyszarpywania wydobywania słowa jak z kopalni z dna człowieczego czucia.

L. Całkosińska

Pożegnanie z bronią

Jakże mi pisać o tej mocnej, prześladującej wyobraźnię książce Drieu La Rochelle: La Comedie de Charleroi*), stworzonej z elementów wojny a inspirowanej zda się przez wędrówki Danta po piekle? Jakże mi o niej pisać, gdy ani wyobraźni, ani uczucia nie starczy, by zrozumieć to, co jest udziałem najprostszego żołnierza: rzeczywistości przeżyć. Ktoś kompetentny, — żołnierz — napisze o wspomnieniach żołnierskich, wyrosłych z dymów ogni, pocisków pękających i straszliwej inercji oczekiwania. Ktoś, do kogo przemówi, nie wyobraźnia, nie refleks bólu, zadanego na odległość, anonimowo, lecz wymowa przeżytych godzin — napisze dobrze, męskim językiem o męskim zawodzie, jakim jest wojna. Mnie pozostaje rola rezonansu, — lustra, oddającego blade i smętne odbicie rzeczywistości. I to jest proste i sprawiedliwe.

Tam, gdzie stykają się dwa światy: jeden uczucia, a drugi czynu — niema porozumienia. Niema miejsca dla uczucia, ni kobiet w świecie La Rochelle'a, i wdzierać się do niego jest niemal przestępstwem. Niema go i w jego wspomnieniach, a jeśli zjawią się, to na marginesie życia żołnierskiego, potraktowane bezwzględnie i okrutnie, właśnie tak, jak wojna obchodzi się z człowiekiem. Wygląda to tak, jakby Rochelle nosił w sobie palącą urazę i pogardę, wyrosłą z przepaści niezrozumień. Jakież miejsce mogłaby zajmować kobieta wśród mężczyzn, przeżywających trawiący strach, zredukowanych do instynktu samozachowawczego — ona, która z męstwa czyni nieodłączny atrybut mężczyzny? Jakież miejsce może zajmować w tej wojnie okopów, fortów, aeroplanów, na którą klasycznym gestem matki Grakchów, podającej tarczę męstwa i zwycięstwa — wysyła swych najbliższych? A wysyła, ponieważ fantazja odgrywa w niej większą rolę „od odtwórcy wyobraźni", ponieważ świat jej pojęć powstał z emocjonalnych elementów, ponieważ tradycja każe poświęcać Ojczyźnie to, co ma najlepszego, ponieważ lubimy stroić się w oznaki męstwa naszych mężczyzn niczem w amulety. Ponieważ... ach, dla tysiąca przeróżnych powodów...

I La Rochelle utożsamia nas ze społeczeństwem, do którego czuje żal za legendę rycerstwa — sen przeszłości, toczący wyobraźnię współczesnych. Jak tylu innych poszedł na wojnę poprzedzony legendą czynów rycerskich, poszedł i zawrzał oburzeniem wobec rzeczywistości współczesnej wojny. Wojny bez ludzi, wojny bez chwalebnych czynów, bez pióropusza chwały, bez uniesienia wobec zdemaskowanego spisku mózgu i przemysłu, rzucających na głowy narodów nadmiar wyprodukowanej broni. Kontrast wyobraźni ludzkiej i rzeczywistości, na którą spoglądał przez cztery lata, wywołuje te straszliwe, fascynujące wizje, rzucane na papier; podobne tej z reduty Thiaumont:

Czy marzyliście kiedy—pyta—o osobliwości miejsca, w którem nikogo niema, miejsca, na które nikt nie spogląda? Przedziwne wdowieństwo ziemi bez ludzi i spojrzenia. I jeżeli ponadto ta ziemia jest obdarta i naga, jeżeli zdmuchnięto z niej domy, wyrwano jej drzewa i trawy, wygnano w dal jej zwierzęta, to wówczas cóż to za nieludzka niemożliwa do wyobrażenia rzecz. Czy widzieliście puste przestrzenie u bram miasta? Rozpacz tego, co nie jest ani miastem, ani wsią. Tysiące ukrytych oczu wpijało się zewsząd, a nie czułem ich. Tak, jak nie czułem ciepła tych ukrytych ludzi. W całej okolicy nie było nikogo. Kto nie oglądał pustki współczesnego pola bitwy, nie może domyślić się przewrotnego nieszczęścia, jakie spadło na ludzi i zniszczy Europę. Były tam tysiące ludzi, setki tysięcy ludzi. I nie widziano ich! Gdzież są? Zagrzebani w ziemi, już zagrzebani. I nie poruszają się, i nie poruszają się w ciągu całych dni. Jeżeli poruszą się, będą dojrzani. Ziemia krwie ludzi. A równocześnie ziemia jest niczem... Ani domów, ani drzew, ani roślin. Żadnych zwierząt w okręgu całych mil.

To wszystko, co sobie przypominam: samotność — nieruchomą samotność.

W tej samotności wojny człowiek nie miał co robić. Nie miałem nic do roboty, nic przeciw temu nie mogłem uczynić memi dłońmi. Jedyną odwagą było czekać nieruchomo. Uważam to za słabą i brzydką odwagę, nie lubiłem jej, nie umiała mi rozgrzać serca. Była zdumiewająco podobna do inercji otaczających mnie ludzi. Nie mogłem rozkazywać, nie mogłem nic przedsięwziąć, zgubiony pośród niezliczonego tłumu.

...Tego dnia wyklinałem to wszystko — mówiąc, że jest hańbą, ohydą, niema nic wspólnego ze mną, z żołnierzem. Żołnierz, to człowiek, a człowiek to ciało! A tymczasem, co się stało z mem ciałem? Nie mogłem się niem posługiwać... Moje muskuły były nieprzydatne. Co do rozkazywania — potężnej części mej istoty, zawartej pomiędzy ciałem i duszą — nie mogła się również poruszać... I ta nieobecność wroga, przyczyna nieustannej dezorjentacji mej ludzkiej istoty, ta niemożność nadania sensu odwadze, bezużyteczność wszelkiego sprecyzowania, paraliż czynu i wolności.

Co ja w tem wszystkiem robię? Jestem człowiekiem, należałem do świata ludzi i zwierząt? Czy poto moi przodkowie pracowali dla cywilizacji — byśmy dziś, nagle nic więcej nie mogli uczynić, aby ruch zagubił się machinalny, ślepy, absurdalny? Maszyna, armata, strzelająca bez przerwy — zupełnie sama. Co to jest? Ani człowiek, ani zwierzę, ani Bóg. To zapomniany rachunek torujący sobie sam drogę przez świat, nieprawdopodobną zresztą! Czemże jest ta zdumiewająca przewaga materji nad życiem. Czem jest mechaniczny rozwój materji? Rzeczywistością stają się absurdalne słowa: mechanizm, materja.

Nudzę się, nie mogę rozwinąć ani inteligencji, ani odwagi. Nudzę się — wszystko jest brzydotą. Ludzkość i natura zniszczone razem — zacierają się — topią w nicości..."

We wspomnieniach Drieu La Rochelle niema uczucia — i niema Boga. Jest tylko wojna i człowiek. Wojna jest straszna, anonimowa, bez oblicza, podobna niedosiężnym żywiołom. A człowiek to nie Człowieczeństwo ani Ludzkość, lecz straszliwe samotne „ja" jednostki. Kiedy tak człowiek staje wobec wojny i niebezpieczeństwa, to wszelki gest, wszelka emfaza czy deklamacja patrjotyczna zdaje się zbędną. Być szczerym, być sobą, uchronić, wydobyć z kataklizmu swoje j a, zadokumentować je i potwierdzić ciałem i cierpieniem ciała. Lecz przedewszystkiem być kimś.

— Być człowiekiem i drwić sobie ze społeczeństwa — to nielada rozkosz. Należy się oddać duszą i ciałem; a równocześnie jeżeli się ma odrobinę choćby życia — usiłuje się uwolnić, choć częściowo, od jego szalonych wymagań. Błogosławiony grzechu— dobroczynna zdrado! — woła autor z tą właściwą sobie kombinacją ironji, szczerości i cynizmu. Nic więc dziwnego, że człowiek Rochelle'a ucieka niekiedy przed obowiązkiem. Jak ten dezerter, twierdzący cynicznie, iż w pierwszym rzędzie poczuwa się względem siebie do obowiązku długiego żywota... Jak ten tchórz usytuowany i możny, któremu protekcja ułatwia odejście z fortu Verdun... Jak oficer marokański, niezdolny pogodzić snu o walce rycerskiej o szarży kawaleryjskiej, z demokratyczną wojną współczesnego świata, przed którym uchodzi do swoich meharystów... Każdy z nich ma źdźbło sympatji Rochelle'a, bo każdy broni prawa do życia w świecie, stworzonym na podobieństwo swych marzeń. I wszyscy noszą w sobie niezniszczony sen o rycerstwie.

I dlatego „Comedie" jest żałosnem epitaphium na grobie rycerstwa Moyen - Age'u.

Rycerstwa nie żołnierza. Bo oto w miarę, jak czytamy tę naprzemiany płomienną, straszliwą, to cyniczną opowieść o zmaganiu się człowieka z wojną, wyłania się z niej oblicze żołnierza przyszłej wojny. I na tem polega dramat Drieu La Rochelle'a! Bo kiedy wysiłkiem woli z ułamków rozpryśniętych wspomnień złożył obraz człowieka, kiedy wydźwignął go ponad czas i epokę, na przekór odczłowieczeniu świata na przekór życiu standaryzowanemu i panowaniu maszyny, kiedy tego wolnego człowieka — a wolność swoją przypieczętował służbą wojskową i krwią — postawił wobec nowego życia, naga prawda ukazała się jego oczom. Niema wolności dla człowieka, który poznał pokusę czynu i męstwa. Niema jej dla tych, w których drzemie pod popiołem wspomnień lęk i braterstwo śmierci. Komu danem było poznać tę prawdę, że w sercu życia kryje się — niczem jądro w łupinie orzecha — śmierć, kto poznał smak życia, pomnożonego przez możliwość zgonu, zatęskni do trybów maszyny — wojny. Wystarczy gest, wspomnienie, głos, by obudzić poczucie zależności, by wyrwać z piersi krzyk pokonanego, wiecznego żołnierza:

— Oddałem się dwa czy trzy razy, dałem siebie na polu bitwy i nie mogę tego odebrać...

*) Drieu La Rochelle: La Comedie de Charleroi. Prix de la Renaissance.

Franciszek Brzeziński

Jak zaradzić skażeniu języka?

Liczne głosy w prasie, dotyczące poprawnego wyrażania się po polsku, świadczą o tem, że sprawa ta wielu ludziom leży na sercu. Jest ona też w tej chwili niezmiernie aktualna, bo nigdy ponoć jeszcze, nawet w czasach, gdy z natury rzeczy byliśmy narażeni na zanieczyszczenie języka rusycyzmami i germanizmami, język polski nie był tak zaniedbany, tak skażony, jak obecnie. Może da się to wytłumaczyć w ten sposób, że wówczas, wobec prześladowania naszego języka, czuliśmy grożące mu niebezpieczeństwo i staraliśmy się przeciwdziałać temu przez szczególną dbałość o jego czystość. Zwłaszcza w t. zw. Kongresówce dbałość ta wydała tak dobre owoce, że ogół inteligencji wyrażał się w mowie i piśmie nader poprawnie i wystrzegał się starannie nawet cienia wpływu języka rosyjskiego. W zaborze pruskim było już nieco gorzej; tam szkoła niemiecka, stosunki z władzami i nie tak hermetyczne, jak w Królestwie, odseparowanie się od społeczeństwa napływowego, pozwoliło rozplenić się licznym germanizmom. Najgorzej jednak było w Galicji, pomimo szkoły polskiej i autonomji krajowej, co zdaje się potwierdzać wyżej wyrażoną tezę, że większe niebezpieczeństwo wywoływało większą czujność.

W dzisiejszej zjednoczonej Polsce niebezpieczeństwo obcych wpływów nie grozi, więc i czujność osłabła, a tymczasem zarażamy jedni drugich błędami językowemi, których pochodzenie już nie wydaje nam się podejrzane; tak wielkopolanin nie spostrzega, iż przejął jakiś rusycyzm, „królewiacy" ni stąd ni zowąd zaczynają używać nieznanych im dawniej germanizmów, a jedni i drudzy akceptują w dobrej wierze dziwolągi językowe, wylęgłe niegdyś w Galicji i Lodomerji lub puszczone w obieg już po wojnie przez niepowołanych amatorów.

Fachowi językoznawcy są zazwyczaj dosyć pobłażliwi dla tych neologizmów, wychodząc z założenia, że przeobrażenia językowe są rzeczą naturalną i że nie ma powodu ani możliwości opierania się im. Zgodziłbym się na pewien liberalizm, gdyby te przeobrażenia wychodziły — jak to bywało dawniej — od artystów pióra, którzy, znając świetnie język, całe jego bogactwo i tradycję, z pełną świadomością wprowadzali nowe zwroty stylistyczne lub nowe, zręcznie utworzone wyrażenia i wyrazy, w celu wypełnienia jakiejś luki w słowniku lub zastąpienia wyrazów obcych. Obecne „przeobrażenia" nie są wszelako owocem celowej pracy nad czystością i upiększeniem języka polskiego, lecz wynikiem zaniedbania, nie są wzbogaceniem, lecz zanieczyszczeniem, a nieraz wprost zubożeniem języka.

I nie chodzi o to, że tu i owdzie grasują jeszcze jakieś prowincjonalizmy, że ten i ów, nie mający pretensji do literackiego wykształcenia i do działalności publicznej, popełni czasem jakiś błąd w rozmowie prywatnej lub użyje wyrażenia żargonowego: najlepszem lekarstwem na takie usterki (niezbyt zresztą doniosłe) jest dobra nauka języka polskiego w szkołach, dobrze po polsku pisane książki i staranna cenzura językowa w prasie.

Ale całe niebezpieczeństwo leży właśnie w tem, że obecnie językiem skażonym pisane są nieraz dzieła najznakomitszych uczonych i powieściopisarzy polskich oraz artykuły najwybitniejszych publicystów, że roi się od błędów językowych w całej prasie, w przemówieniach publicznych, w okólnikach ministerjalnych i drukowanych rozporządzeniach różnych władz, i... że nikt na to nie zdaje się zwracać uwagi, jakby to było rzeczą obojętną.

Otóż w takim stanie sprawy liberalizm językowy i tolerancja dla notorycznych błędów lub choć by tylko niepotrzebnych neologizmów, wydaje mi się nie na miejscu. Przeciwnie, należałoby raczej zalecić jaknajdalej idący konserwatyzm, bodaj taki, jakim się kieruje Akademja Francuska przy dopuszczaniu nowych wyrazów do swego słownika. Trzeba naprzód dobrze poznać poprawny literacki język polski doby przedwojennej, trzeba postarać się o wprowadzenie i ustalenie tego języka we wszystkich dzielnicach Rzeczypospolitej i o usunięcie nowych, niepożądanych naleciałości oraz dawnych błędów, a dopiero potem można będzie dyskutować nad tem, czy zachodzi potrzeba, aby jakiś nowy wyraz, nieużywany w dobrem piśmiennictwie przed wojną, a zaczerpnięty z gwary miejskiej lub skażonego na kresach Polski języka, mógł pozyskać prawo obywatelstwa w literackim i urzędowym języku polskim, w prasie i przemówieniach publicznych.

Czy jest jednak możność przeciwdziałania obecnej anarchji językowej? czy są praktyczne sposoby usunięcia choćby najbardziej rażących błędów językowych, epidemicznie rozpowszechnionych w prasie i urzędach? Przecież wychodzi stale bardzo dobrze redagowane pismo „Poradnik językowy": ale tych literatów i dziennikarzy, urzędników lub mówców publicznych, którzy to pismo czytają, na palcach chyba by policzyć można.

Ośmielę się tedy podać sposób, wypróbowany przezemnie z dobrym skutkiem na jednej z placówek konsularnych w Niemczech. Oto wynotowałem sobie szereg błędów, stale powtarzających się w referatach urzędników; sporządziłem następnie kilka tablic, zawierających po 10 takich błędów, kazałem odbić na maszynie po kilka egzemplarzy każdej tablicy i co tydzień rozdawałem odpisy jednej tablicy we wszystkich wydziałach biura. Skutek był wprost nadzwyczajny: w kilka dni po rozdaniu każdej tablicy wszystkie zamieszczone w niej błędy znikały bezpowrotnie z przedstawianych mi referatów. Nadmienić też muszę, że urzędnicy (przeważnie dzieci emigrantów, kształcone w szkołach niemieckich) wyrażali mi wielokrotnie swą serdeczną wdzięczność za roztoczoną nad nimi w tym kierunku opiekę i za korzyść, jaką przez to w swem wykształceniu odnieśli.

Czy nie możnaby tego samego sposobu zastosować u nas w redakcjach czasopism, w urzędach i instytucjach prywatnych? Przecież w każdej dużej instytucji, a tembardziej w każdej redakcji są ludzie, władający dobrze językiem polskim. Takie osoby mogłyby perjodycznie sporządzać tablice błędów, najczęściej przez współpracowników danej redakcji lub instytucji popełnianych (nie więcej, jak po 10 na raz) i tablice te z rozporządzenia redaktora naczelnego lub szefa instytucji byłyby umieszczone w najwidoczniejszych miejscach sal przeznaczonych do pracy. Jestem przekonany, że każdy z piszących którego uwaga byłaby w ten sposób zwrócona na popełniane przez niego błędy językowe, wyleczyłby się z nich w bardzo krótkim czasie, tembardziej gdyby (o ile chodzi o redakcje), tablice błędów zamieszczone zostały jednocześnie wraz z uzasadnieniem w danem czasopiśmie.

Zdaje się, że gra warta jest świeczki i że należałoby spróbować tego sposobu.

•

Na początku możnaby sporządzić poniższą listę najpospolitszych błędów językowych:

Tablica błędów Nr. 1.

1) Spójnik **a**, użyty zamiast **lecz** jest rusycyzmem: np. „nie słowem, a czynem"; powinno być: „nie słowem, lecz czynem".

2) Zamiast: **pod rząd** — np. „przez kilka dni pod rząd deszcz padał" — należy mówić: „kilka dni **z rzędu**".

3) Zamiast **po myśli** traktatu— **w myśl**.

4) Zam. **jak długo, tak długo — dopóki, dopóty**.

5) Zam. **rozchodzi się o to — chodzi o to**.

6) Zam. **„na czele z kimś" — „z kimś na czele"**.

Wyrażenie: „cały zespół baletowy na czele z pp. (tu następuje wyliczenie osób) jest równie złe, jak: „wojsko na przedzie z oficerem", „wszedł na głowie w kapeluszu" lub „oficer u boku z szablą". Jeżeli chodzi o wymienienie kilku wybitniejszych osób ze społu, to nie należy pisać „na czele", lecz „z udziałem".

7) **Zbyteczne zaimki**: np. „**ja** zapewniam panów", „p. N. oświadczył, że **on** się nigdy nie zgodzi"; tak mówi się po rosyjsku lub po niemiecku; po polsku używa się zaimków osobowych wtedy jedynie, gdy chodzi o położenie na nich nacisku, np. „to **ja** właśnie pozostałem wierny zasadom, **ty** zaś od nich odstąpiłeś".

8) Wyraz **zastępca** oznacza osobę zastępującą czasowo inną osobę w jej czynnościach, ale nikt nie może **zastąpić** banku, kraju lub stowarzyszenia, jak to się stale czyta w gazetach; nie może też adwokat **zastępować** złodzieja, bo musiałby albo kraść za niego, albo w kozie siedzieć. Należy mówić: **obrońcą** (nie zastępca) oskarżonego był adwokat N., **przedstawicielem, reprezentantem, delegatem** danego kraju lub instytucji jest p. Z.; **w imieniu** lub **z ramienia** korporacji albo stowarzyszenia (nie „w zastępstwie") udał się na zjazd p. S. — Błąd ten powstał w zaborach pruskim i austrjackim stąd, że od wyrazów niemieckich „Vertreter" (przedstawiciel) i „Stellvertreter" (zastępca) jest wspólny czasownik „vertreten".

9) **Jako taki** — tłum. z niemieckiego „als solcher"; po polsku wyrażenie to nie ma żadnego sensu. Np. w zdaniu: „Potępiam wojnę **jako taką** (jako jaką?!), ale dopuszczam ją w pewnych wypadkach" — powinno być: „potępiam wojnę **w zasadzie**"; „ustawa **jako taka** jest dobra, trzeba ją tylko właściwie stosować" — powinno być: „ustawa **sama w sobie**"; „zakaz **jako taki** jest bez znaczenia, jeśli nie jest obwarowany sankcją" — powinno być: „zakaz **sam przez się**". „Starosta zastrzegł się, iż nie występuje tym razem **jako taki**, lecz jako człowiek prywatny" — powinno być: „nie występuje **w charakterze** urzędowym".

10) Zamiast: „stało się to **na** naszych **oczach**" — powinno być: „**w** naszych **oczach**". Termin: „świadek naoczny" pochodzi stąd że świadek widział coś „na własne oczy", a nie, że „na jego oczach coś się stało".

Warszawa w przededniu Międzynar. Kongresu Geograficznego

W czwartek przyszłego tygodnia rozpoczyna w Warszawie swoje obrady Międzynarodowy Kongres Geograficzny. W ten sposób, po zeszłorocznym Międz. Kongresie Historycznym Warszawa znów będzie gościć elitę uczonych świata. Kongres organizowany jest przez Międzynarodową Unję Geograficzną, która zwołuje kongres swej organizacji co trzy lata. Statut Unji zastrzega, że miejscem kongresu mogą być tylko stolice wielkich mocarstw — każdorazowy wybór miejsca zależy od uchwały Rady stojącej na czele Unji. Uchwała wybierająca Warszawę zapadła w r. 1931 na Kongresie w Paryżu.

Na Kongres przybędzie około 600 osób. Przyjeżdżają delegacje z Anglji, Francji, Włoch, Sowietów, St. Zjednoczonych, Belgji, Brazylji, Bułgarji, Czechosłowacji, Danji, Egiptu, Chin, Finlandji, Hiszpanji, Japonji, Marokka, Persji, Portugalji, Rumunji, Szwajcarji, Indyj Angielskich. Spodziewane są także delegacje państw nienależących do Unji, a mianowicie Szwecji, Austrji, Węgier.

Niemcy — rzecz charakterystyczna — dotychczas nieobecni na Kongresach Geograficznych i stale odrzucający zaproszenia, na Kongres warszawski sami się zgłosili.

Wśród obrad Kongresu zostaną poruszone liczne tematy specjalne. Interesująco zapowiada się dyskusja w sekcji antropogeografji, gdzie rozważana będzie sprawa osiedli miejskich i sprawa przeludnienia. Ważne znaczenie ma też zagadnienie wpływu warunków geograficznych na komunikację lądową i powietrzną.

Poza zamkniętemi obradami Kongresu projektowany jest cykl publicznych odczytów z polskich zagadnień geograficznych.

Reprezentacyjną częścią Kongresu, dostępną i zrozumiałą dla wszystkich, będą wystawy. W Zachęcie przygotowuje się wystawa „Krajobrazu polskiego", pozatem przedstawi swój dorobek Wojskowy Instytut Geograficzny, pokażemy też starą kartografję polską. W wielkiej Międzynarodowej Wystawie Kartografji Współczesnej weźmie udział 25 państw. Imponująco zapowiada się tu dział amerykański.

Członkowie Kongresu odbędą szereg wycieczek naukowych. Trzeba podkreślić, że na wycieczkach tych idzie nie o cele turystyczne, ale o przedstawienie wyników ostatnich badań i prac naukowych, toteż wycieczki wyruszą na Polesie, w góry Świętokrzyskie, na Podole i na Huculszczyznę.

Spośród gości, przybywających do Warszawy na Kongres, należy przedewszystkiem wymienić przewodniczącego Unji dr. I. Bowmana (St. Zjedn.), gen. Bourgeois i de Martonne (Francja), plk. J. L. Winterbothama (Anglja) i znanych badaczy polarnych — prof. Schmidta i prof. Samojłowicza. (Z. S. R. R.).

Bronisław Komierows[k]i

W krainę wysokich wartości

Lat temu trochę natrafiłem na książkę G. Ferrero — „Fra i due mondi" (Między dwoma światami). Miała to być podróż z Ameryki do Europy, a właściwie była to wycieczka w krainę Prawdy, Dobra i Piękna.

Została mi w pamięci rzecz bardzo ciekawa, napisana w formie djalogów między grupą pasażerów, wypełniających przymusową bezczynność rozważaniem najgłębszych zagadnień życia. Przeczytałem książkę pobieżnie. Czasy były takie, że zagadnienia najgłębsze musiały ustąpić miejsca zagadnieniom najpilniejszym, — rzecz poszła w niepamięć.

Ostatnimi czasy książka Ferrera wpadła mi znowu w ręce. Przeczytałem ją tym razem z uwagą. Od pierwszych kart uderzyła mnie jej wysoka aktualność. Co autor przewiduje — my widzimy.

W chwili, kiedy Ferrero pisał swoją książkę, dolar stał krzepko, a amerykanizm był niedościgłym wzorem dla Europejczyka. Autor powiada: Maszyna zrobiła człowieka nienasyconym, cyfry i maszyny prowadzą świat do barbarzyństwa, do katastrofy, wartościom duchowym trzeba przywrócić utracony debit, ludzie będą musieli ograniczyć swoje potrzeby, wolność trzeba okiełznać. Obecny przy tem Włoch, który w Ameryce dorobił się miljonów, woła: „Nigdy". My mówimy: „Już się robi".

Epizody podróży zostawimy na boku. Zajmie nas wyłącznie filozoficzna treść książki.

Dyskusję wywołało zdanie wspomnianego Włocha, że New-York jest najładniejszem miastem na świecie. Harmonja i proporcje są właściwością cywilizacyj starczych, a bujne życie wymaga bujnych form.

Obecni protestują, oczywiście bez skutku. Włoch został przy swojem zdaniu, natomiast dyskusja wykazała kruchość wszystkich rozumowych koncepcyj. Czy to w dziedzinie piękna, czy prawdy, czy dobra — w tym skarbcu największych wartości człowieka — nic niema trwałego. Wszystko da się dowieść, każdą prawdę można podać w wątpliwość, każdą zaletę można zrobić wadą. Rozumowe koncepcje są odwracalne: może być tak, może być nie.

W toku rozpraw legły w gruzy solidne teorje, ustalone poglądy. Odwracalne jest nawet pojęcie postępu, mimo gorących protestów Włocha, nawet wiedza, dla której dostępne są tylko ułamki prawd.

Autor potrzebował tej hekatomby pojęć, aby przygotować grunt dla swojej podstawowej tezy:

W pojęciach abstrakcyjnych decydujący głos ma wola, nie rozum.

Wola, a nie teorja i filozofja, jest źródłem wartości. Rozum, myśl, filozofja, nie mogą ustanawiać zasad sztuki i moralności — mogą je tylko rozwijać. I to jeszcze najchętniej grzebią się w fundamentach, osłabiając całość budowy.

Rzecz prosta, wola musi mieć za sobą autorytet, zdolny opanować umysły. Więc będzie to wola: sławy, szkoły, sekty, kościoła, narodu, epoki, szeregu pokoleń. Im większy autorytet i dłuższe wpływy, tem pełniejszy i trwalszy będzie skutek.

Obok tej pierwszej tezy stoi druga:

Działanie woli wyraża się przez ustanowienie granic.

Tragedją myśli ludzkiej jest, że wszędzie natrafia na nieskończoność, a człowiek nie ma żadnego zmysłu, któryby mu pozwolił nieskończoność, już nie ogarnąć, lecz poprostu zrozumieć. Skazany byłby zatem na wieczne błądzenie, gdyby wola nie podała mu punktu oparcia.

Zamknijmy w jakichś granicach te wszystkie wartości, które z taką łatwością obaliliśmy, a staną krzepko na nogach i oprą się wszelkiej krytyce.

Wszechświat możemy pojąć jako rzeczywistość, która nas ze wszech stron przerasta i z której tylko drobne cząsteczki ideałów do nas przenikają. Żądać całej prawdy, całego piękna, całego dobra niema nietylko możności, niema także potrzeby. Cóż z tego, że ideały są nieograniczone, kiedy umysł — nasz organ percepcyjny — jest ograniczony, a nadto potrzeby nasze są zależne od warunków ziemskiego bytu. Pijemy z nieskończoności drobnemi haustami, w miarę zmiany warunków i potrzeb.

Z tego źródła każde stworzenie otrzymuje cząsteczkę prawdy, niezbędną dla jego istnienia i korzystania z niej bez wahania i nieomylnie, dlatego właśnie, że intelekt nie gra przy tem żadnej roli.

Z tego źródła człowiek otrzymuje iskrę natchnienia, podstawę wszystkich swoich ideałów i, aby dać jej warunki ziemskiego bytu, musi szukać dla niej odpowiednich granic.

Brak granic prowadzi do niezgody, do zagubienia w nas zdolności rozróżniania dobra i zła, piękna i brzydoty — jak świadczy choćby niedawna dyskusja o New - Yorku. Historja sztuki to stała walka o wytworzenie i narzucenie granic.

Z ograniczenia powstają dla nas prawda, piękno i dobro.

Z ograniczenia powstała cała nasza cywilizacja.

Świat starożytny, skupiony dokoła Morza Śródziemnego, ograniczony był z natury. Kończył się u Słupów Herkulesa. Nad nim słońce i gwiazdy na jego usługach. Tuż Olimp opiekuńczy i pod ręką bogowie, jako towarzysze trosk i radości. Dodajmy, że skąpe dary przyrody nie sprzyjały wzrostowi bogactw i pożądań, — a łatwo się zgodzimy, że ta cywilizacja, nie mogąc się rozprzestrzeniać, musiała pójść wgłąb i w ten sposób wytworzyła arcywzory poezji, architektury i prawa. Chrześcijaństwo zastąpiło poganizm, nie wiele zmieniając w podstawowych warunkach bytu, dodało tylko jedną dziedzinę pracy na głębokość — poszło wgłąb sumienia.

W zamkniętym świecie cywilizacji Morza Śródziemnego pierwszy Kolumb odważył się złamać granice ziemi, a za nim Kopernik rozdarł kopułę niebios. W obu kierunkach otworzył się widok na nieskończoność i wstrząsnął zamkniętym światem do głębi.

Ludzie przyjrzeli się podejrzliwie innym granicom i wszędzie doszukali się zasad umówionych i względnych.

Rezultat był niespodziewany. W miarę jak odsuwały się granice nieba i ziemi, powstawały granice między ludźmi. Coraz częściej zdawało się niektórym, że dojrzeli całą prawdę i całe piękno. Obalali z łatwością granice, utworzone przez tradycje wieków, ale poddawali się nowym, utworzonym przez fanatyzm, nienawiść i względy osobiste. I zaciekle zwalczali innych, co, ulegając temuż złudzeniu, czcili z równą wyłącznością odmienną formę prawdy i piękna.

Stary świat, aczkolwiek zmieniał i odsuwał granice, dla jednych obmyślał mocne i wysokie, drugim dawał najmniej krępujące, Boga umieścił na krańcach nieskończoności, — jednakże nie mógł już wyzbyć się całkiem ustroju, w którym wzrósł i rozkwitnął.

A tymczasem na nowo odkrytych, bezkresnych, bogatych obszarach powstawała nowa cywilizacja, nieograniczona niczem. Bez płodów ducha, bo te [b]yły zbyteczne — do zdobycia ziemi wystarczały maszyny i wiedza.

I oto stała się rzecz niezwykła. Człowiek, wyzbyty z pęt, olbrzymiemi krokami pobiegł naprzód. Statystyka wykazuje zawrotne cyfry wzrostu produkcji, budowy dróg, urządzeń społecznych.

Szalony postęp na każdem polu, tylko — niema już czasu myśleć o jakości. Presto e bene non vanno insieme.

Z postępu wyłoniła się idea równości, jako rezultat walki, którą postęp zmuszony był wydać wewnętrznym walorom produkcji, a także jednostki, gdyż moralne kwalifikacje coraz mniejszą grają rolę. Człowiek staje się maszyną nienasyconą i nieopancwaną — tyle jest wart, ile potrafi wyprodukować.

Idea równości zabija w ludziach dążenie do jakości, do polepszenia rzeczy i samych siebie. Wzrasta zatem ilość kosztem jakości daje równość w miernocie. A nadto otwiera drogę przed kłamstwem, gdyż ilość najchętniej przywdziewa maskę jakości. Stąd mamy dywany smyrneńskie wyrabiane w Wiedniu, bezcenne tkaniny indyjskie fabrykowane w Londynie do powszechnego użytku. Stąd otwarte pole dla urojonych wielkości, albo wprost dla szarlatanów, którzy nam narzucają fałszywe wzory piękna. Wszakże widzimy, jak już powszechnie za piękne uznawane jest trudne, jaskrawe, kolosalne, rzadkie — wszystko wartości o cechach ilościowych, które pojęcie piękna paczą. Piękno jest czystą jakością.

Z obszarów Ameryki powiała na świat jeszcze jedna idea — wolności.

Idea bałamutna, gdyż do wolności jedna jest tylko droga — przez opanowanie siebie. Tymczasem postęp, aby spożyć wzrastającą produkcję, domaga się właśnie rozbudzenia apetytów nad miarę, nad potrzebę. Wolność zatem nie da się uzyskać inaczej, jak popuszczaniem pasa i opanowaniem nie siebie, lecz innych.

— Gdyby człowiek nie uzyskał wolności, czy mógłby sprostać tej olbrzymiej pracy, jakiej dokonał? Cywilizacje ograniczone pracować nie umiały. Myśmy zdobyli ziemię i owładnęli naturą. Czyż to nie warte było wysiłku, nawet za cenę obalenia wielu granic?

— Doniosłej roli postępu zaprzeczać nie można. Pamiętajmy jednak, że cywilizacje ograniczone wytworzyły kapitał, z którego wszyscy po dziś dzień żyjemy, nie zdając sobie z tego sprawy. I trwonimy także, nie zdając sobie z tego sprawy. Strzeżmy się, aby go nam nie zabrakło. Nie może być prawdziwego postępu, jeżeli prawdy nie będą narastały z pokolenia w pokolenie. Inaczej tworzy się tylko zamki na lodzie dla swej wygody, lub fantazji. Dziś ze zdziwieniem stwierdzamy, że w epoce postępu tylko cyfry idą w górę, a nasze poczucie moralne nie odpowiada osiągniętym triumfom. Żyjemy w gorączce, w upojeniu, w gruncie rzeczy jesteśmy zaniepokojeni i markotni. A coraz częściej słychać skargi, że znajdujemy się w epoce upadku.

Włoch miljoner znów protestuje:

— Czuję się zdrów i silny i nie spocznę, póki nie zaokrąglę majątku do 100 miljonów.

— A potem?... Zwróć się pan do tych, co już doszli do celu, powiedzą panu, że ilość zawsze kończy się przesytem, a wtedy powstaje fatalne zapytanie: po co?... Przypatrz się pan dobrze Ameryce. Ameryka robi pieniądze. Widocznie jednak to jej nie wystarcza, bo jeszcze za czemś niespokojnie się ogląda. Tworzy nowe religje, zakłada fundacje i instytucje, adoruje obcych artystów, stara się zrozumieć i naśladować wszystkie wzory kultury, przebiega stale lądy wszerz i wzdłuż, skupując dzieła sztuki. Czegóż szuka?... Granic?... Miary na wzór?... Jakości?... Ale czy ją znajdzie? Czy stare zaniedbane resztki wystarczą?... Czy nowe wartości odpowiedzą wymaganiom? — tyle wśród nich falsyfikatów. Przecież ilość wzrastała kosztem jakości, przecież w pogoni za ilością różnice jakościowe, tak materjalne jak moralne, stawały się coraz niklejsze, coraz mniej uchwytne — czy będzie do czego wracać?... A czy powrót jest możliwy? — wszakże ruch wsteczny o własnych siłach przeczy zasadom entropji... Tyle kwestyj, których ludzie własną głową nie rozwiążą.

Na szczęście człowiek nie jest pełnoprawnym gospodarzem na ziemi. W chwilach przełomowych życie samo nawraca na tor właściwy. I rzeki wracają do źródeł w pełnej zgodzie z prawami entropji — za przemożnym wpływem słońca.

Prawda, o ludzkich ideałach decyduje wola, ale wola — już mówiliśmy — bierze iskrę natchnienia z tamtej strony granicy, a gdy z niej uczyni zły użytek, wywołuje powikłania, za które odpowiada własną dolą. Może błądzić i mylić się — na swój rachunek. Błąd do panowania nad światem nie dojdzie. Jest siła — jak ją nazwać: życiem, Opatrznością — co nie myli się nigdy. Błędy naprawia, nawet z powikłań chwili korzysta dla swoich celów. I patrzcie — świat ludzki w zebraniu lepiej się przedstawia niż jednostki, co w nim gospodarzą. Wśród jednostek widzimy różne przywary, zepsucie, egoizm, zawiść, pożądliwość, próżność. Tymczasem duch, co po świecie niewiedzieć skąd wieje, jest zdrowy i dodatni. Łączy się w nim: wstręt do próżniactwa, chęć zrobienia lepiej, solidarność, humanizm, sprawiedliwość, godność i duma, jakich świat starożytny nie znał.

Nie trwóżmy się zatem i nie traćmy nadziei. Kiedyś akt woli ograniczającej wybuchnie niespodzianie i zabłyśnie prawdą, która wyznaczy granice żądzom ludzkim i bezmyślnej produkcji bogactwa, a iskrę tajemniczą oblecze w nowe wzory prawdy, piękna i dobra.

Takim majorowym akordem autor kończy swoją podróż.

Rozmowa, prowadzona przeważnie — jak mówi Francuz — à batons rompus, trudno daje się streścić. Musiałem wybrać to tylko, z czego można było złożyć jakąś schematyczną całość. Poza tem zostało wiele trafnych spostrzeżeń, doskonałych określeń, świetnych porównań — warto dla nich przeczytać książkę w całości. Kto przeczyta, zgodzi się może z takiem zdaniem jednego z uczestników dyskusji:

— Słysząc wiele rzeczy po raz pierwszy, wydaje mi się, że nigdy inaczej nie myślałem.

A to jest świadectwo prawdy.

Józef Marjan Chudek

Przybyszewski — gloryfikator wojny

GENEALOGJE PACYFIZMU

Z pacyfizmem jest gorzej, niż z dwiema matkami, walczącemi o jedno dziecko przed sądem Salomona. Tam było ich tylko dwie, więc ostatecznie zadanie Salomona nie było utrudnione; pacyfizm natomiast ma ojców bez porównania więcej. Nie toczą oni sporu sami — chyba w zaświatach bez naszej wiedzy — zato o uznanie ich ojcowstwa walczą ich zwolennicy z zapałem może nawet większym, niżby to czynili oni sami.

Kogóż to już nie proklamowano do tej pory ojcem pacyfizmu? Wysunięte zostało nazwisko ks. de Saint - Pierre i autora wielotomowego „Projet pour rendre la paix perpetuelle en Europe", którego dwa pierwsze tomy ukazały się z początkiem 1713 roku w Utrechcie; przypomniano moralistów hiszpańskich z okresu poreformacyjnego; nawet cofnięto się dalej, bo wgłąb historji Indyj, gdzie w sto lat po Aleksandrze Macedońskim panował wielki reformator i pacyfista — król Asioka Piyadasi (263 — 222). To ważniejsi, a oprócz nich raz po raz znajdują jeszcze jednego ojca, zapominając, że właściwie w wielu wypadkach, gdy chodzi o czasy nowsze, są to tylko interpretatorzy Monteskjusza.

Jean Balde, referujący tezy ks. de Saint - Pierre, woła patetycznie o jego dziele: „Oto Liga Narodów, stworzona w postaci zasad na papierze" [1]), jednak papier w znacznej mierze został papierem, nawet po zrealizowaniu w życiu, tymczasem zaś przysięgli wychwalacze tak zacnej skądinąd instytucji, mającej strzec pokoju już nietylko Europy, ale wogóle świata, muszą rozrywać z aktorskim gestem szaty i deklamować koturnowo: „Bo czyż potrafimy jeszcze wyczuć dzisiaj tę właściwą, pierwotną treść w brzmieniu spospoliconego, spłowiałego i wyświechtanego już wyrazu „pacyfizm"? Słowo to, rozlegające się od pewnego czasu hucznie po wszystkich wertepach kuli ziemskiej, rozpryskuje się w tysiącznych echach, zatracając coraz bardziej swą istotną pierwotność" [2]).

[1]) Jean Balde: L'Abbé de Saint - Pierre. Les Nouvelles Litteraires. 17. 1. 31.

[2]) M. Korzennik: Bezimienny miłośnik pokoju. Głos Polska z 18-tego wieku przeciw wojnie. Nowy Dziennik. 17. 6. 30.

NA ANTYPODZIE ZAGADNIENIA

I oto moda na poszukiwanie ojców pacyfizmu przycichła. Niektórzy z dawnych pacyfistów dodali sobie na początku skromne „b", by stwierdzić swą byłość. Próbuje się nawet spojrzeć na wojnę mniej surowo. Przypomniano również wywody historyków kultury, wykazujące kulturotwórcze wartości wojny dla społeczeństw pierwotnych; jakby uprzedzając w ten sposób wzrost tendencyj militarystycznych w polityce światowej.

Tak patrzy się na wojnę z oddalenia, gdy rysy okrucieństwa jej zacierają się w pamięci, i nie jest to żadnem bohaterstwem, a tego trzeba było wiele, ażeby w podobny sposób spojrzeć na wojnę w trakcie jej trwania. Tak właśnie patrzał na nią Przybyszewski.

PANEGIRYK NA CZEŚĆ WOJNY

Wojna zastała go poza granicami Polski. Żył on wtedy w Monachjum, gdzie, według informacyj wydawców „Tyrteusza", „odgrywa od lat rolę jednego z duchowych ambasadorów Polski, informując swem wytrawnem piórem niemiecką prasę o sprawach naszych narodowych", przyczem „nieobojętnie przepływała obok niego wielka fala ostatnich wypadków", związanych z wielką wojną. Literackiem odzwierciedleniem tych nastrojów stał się właśnie „Tyrteusz", wydany w Wiedniu pod koniec 1915 roku w „Bibljotece Polskiej" i opatrzony wstępem niesłychanie hołdowniczym, który wyszedł zapewne spod pióra należącego do komitetu redakcyjnego Jakóba Geszwinda — późniejszego obrońcy Przybyszewskiego przed zarzutami ze strony Boya - Żeleńskiego.

„Tyrteusz" — to wielka fuga liryczna, pisana ze zwylką u Przybyszewskiego pasją, niewolna od jego frazeologji i jeśli się ją teraz czyta, to wyłącznie po to, ażeby odcyfrować na jej podstawie stosunek Przybyszewskiego do wojny już nie jakiejś jednej, konkretnej, lecz do wojny wogóle. Bez zająknięcia trzeba ten utwór nazwać panegirykiem na cześć wojny. I stwierdzić, że takich gorących pochwał wojny nie znajdzie się w literaturze świata zbyt wiele.

Czy pogląd Przybyszewskiego w tej sprawie był stały i niezmienny, to już inna rzecz, niemniej jednak pisząc „Tyrteusza" wierzył w to, co pisze. Taksamo mógłby wierzyć w to, co pisał potem, choćby sam sobie zaprzeczał. U ludzi tego typu, co Przybyszewski, trudno doszukiwać się jakiejś jednolitości w poglądach, uczuciowość bowiem gra u nich rolę decydującą i sprawia, że typ taki jest jednocześnie katolikiem i bluźniercą, kosmopolitą i patrjotą, człowiekiem o czułem sumieniu i równocześnie grzesznikiem. Ta zmienność nastrojów u ludzi zwykłych, mija bez trwalszych śladów, u pisarza przejawia się w postaci dzieł; ale trudno na podstawie takich dzieł odbudowywać ich światopogląd i godzić istniejące w dziełach sprzeczności. Tak właśnie jest z Przybyszewskim, który w okresie mody na pacyfizm, gdyby jej dożył, byłby niezawodnie pacyfistą, jak był gloryfikatorem wojny

WOJNA POJĘTA METAFIZYCZNIE

Przybyszewski — to człowiek żyjący pod brzemieniem kosmosu. (Dziś daje się to spostrzec tylko u Zegadłowicza). Zauważono już, że „każde najmniejsze zjawisko posiada dla twórcy „Homo Sapiens" niesłychaną wagę. Wierzy on, że to zjawisko jest tylko zewnętrznym kształtem, ułamkiem jakiejś całości o nieodgadnionem znaczeniu" [3]). Tem się tłumaczy, że dla każdego zjawiska szuka korzeni kosmicznych. Tak też spojrzeć musiał na wojnę:

„Poco szukać jej przyczyn w tak mało znaczących rzeczach, jak niemiecki militaryzm, angielski imperjalizm, francuski szowinizm i pragnienie odwetu, albo obłęd moskiewskiego rakarza, który na wyswobodziciela braci słowiańskiej zachorował? To przecież nie są przyczyny, to skutki, a raczej objawy epidemji, a coś mu cicho do ucha szepce: zatrucie toksyną, w jaką przeobfita jest ziemia, którą nieszczęsny ród ludzki zamieszkuje".

Na te toksyny patrzy Przybyszewski jako etyk, bo z etycznego punktu widzenia rozpatruje wojnę. Wychwala ją wprawdzie i z tego powodu, że dzięki niej „stanie się cud nad cudy: Polska zmartwychwstanie!" Ale ten końcowy akord w całości wywodów jest rzeczą wtórną. Przybyszewski chwali wojnę przedewszystkiem dlatego, że dzięki niej dokonuje się wielkie oczyszczenie ludzkości — oczyszczenie moralne.

„Pokój pozwala się panoszyć najbrutalniejszym instynktom w człowieku: uczy podstępnie pod osłoną praw kraść chleb swojemu bliźniemu, bogacić się z bezwzględnem, bezsercowem okrucieństwem kosztem słabszego, rozwydrza chciwość i zachłanność, niszczy doszczętnie w narodach uczucie współprzynależenia, a na piedestale najwyższych ideałów ludzkości osadza ciasny, zły i chciwy egoizm jednostki".

To fragment tylko wywodów, potępiających pokój, a konkluzja jest utrzymana w tym samym tonie:

„Inną, całkiem inną ujrzał teraz Wojnę:

Ujrzał ją wreszcie tem, czem jest: gniewem Duszy wszechświata, mszczącego się za to, że Jej dary bezmyślnie roztrwonione zostały, że skarby, które dla przechowania i pomnożenia ludziom poruczyła, głęboko i skrzętnie gdzieś w jałowej ziemi pochowane, dawno już zapomniane, że ogień, który w ich duszach wznieciła, dawno już zgasł, a pozostała tylko garść smrodliwego popiołu.

Począł błogosławić wojnę, bo widział w niej nawiedzenie skarłowaciałego plemienia ludzkiego przez Duszę z głębokiego snu ockniętą:

I błogosławił wojnie...

Widział w wojnie budzącą się wiosnę do nowego życia, wielkie święto najgłębszych i najszlachetniejszych sił w duszy ludzkiej i uwierzył w wielki, przeolbrzymim blaskiem oślepiający cud".

W tem metafizycznem potraktowaniu wojny wykazuje Przybyszewski dużą konsekwencję i ukazuje się czytelnikowi jako myśliciel wysoce interesujący, choćby się z nim nawet nie zgadzać. Ta twarz Przybyszewskiego - mędrca została przysłonięta inną maską, którą mu wtłoczył Boy - Żeleński. A jednak Przybyszewski — to nietylko „ruja i porubstwo", jak sobie uprościł definicję zjawiska Sienkiewicz; to nietylko pijaczyna wycierający kąty knajp Krakowa i całej Europy: to również myśliciel, dla którego kwestje etyczne nie były czemś martwem.

[3]) Hanna Huszcza - Winnicka: Tragedja Przybyszewskiego: nieumiejętność życia. Gazeta Polska. 3. 8. 30.

Jan Bajkowski

Norblin szczery czy konwencjonalny

Historyk sztuki zaczyna od daty urodzenia, szybko przebiega po latach dzieciństwa, aż wreszcie dorwawszy się do pierwszego rysunku, rozpoczyna z lubością wyszukiwanie i stwierdzanie wpływów. A więc, jeśli idzie o Norblina, w najwcześniejszym okresie twórczości — Watteau, potem oczywiście Casanova, potem, zdawałoby się, ni z tego ni z owego — Rembrandt, potem... i tu już trudniej rzucić następne nazwisko, zwłaszcza, że należałoby może nawrócić do samego początku. Bo skąd nagle owe p a n n e a u x dekoracyjne Powązek, Arkadji i dalekiego litewskiego Zdzięcioła? A przytem, równocześnie, owe rysunki tak dalekie od wyszukanej, krygowanej dworskości. Oczywiście — możnaby powiedzieć, że z chwilą zetknięcia się artysty z Polską rozpoczyna się wyraźnie kształtować jego indywidualność, cóż, gdy dwoistość jego sztuki wprowadza w kłopotliwe zastanowienie. Trudno się zdecydować, czy prawdziwy Norblin kręci się po magnackich pokojach, czy też włóczy się od karczmy do jarmarku, od jarmarku do sejmiku.

Chętniej się znamię szczerości przyznawało temu drugiemu, czyniąc ze świetnego dekoratora ofiarę panującego naówczas powszechnie smaku. Było to wtedy, gdy w malarstwie chorowano na nieco sentymentalną rodzajowość.

I tu nowa niekonsekwencja. Czytam np., że za panowania Stanisława Augusta różnego rodzaju obieżyświaty, jak zawodowi dyplomaci, rzeźbiarze, malarze, architekci dążąc przez „nieimponujący kraj“ do wiecznie egzotycznej Rosji i zatrzymując się po drodze w stołecznej Warszawie i w największych dworach „...znajdowali niezwykłe przyjęcie i odkrywali ze zdziwieniem — kulturę“. Dzisiaj coprawda niebardzo możemy zrozumieć tego wywyższania do pozycji kultury międzynarodowego, konwencjonalnego poloru, mającego posmak pospolitej mody, w przeciwstawieniu do schorzałej, przyznajmy, wówczas mocno, ale odrębnej, wielkiej cywilizacji, której sile tak z miejsca uległ wybitny malarz, jakim bez kwestji był Norblin, cudzoziemiec, bliższy tej sztuce, która narzuciła ów panujący powszechnie styl i manierę. Kwestją jest bowiem, czy przejawem większej kultury było pisanie liścików do pana Delille'a z opisem piękności, rozkoszy i cudactw, pozakładanych olbrzymim nakładem „gaików“, w nadziei, że je poeta paroma składnemi wierszami uwieczni w nowem wydaniu swoich „Ogrodów“, czy też świetnie podchwycone i pokilkakroć przez artystę powtarzane sceny sejmowe lub tylko sejmikowe, będące przecież ilustracją starych praw i przywilejów.

A już chyba zupełnie niewiadomo, jak potraktować rezydencję takiego pana Jerzego Dzieduszyckiego, tworzącego w swoich Cucułowcach tandetną kopję Zofjówki, Powązek, Białegostoku czy Wołczyna, w których gipsowe posągi szybko traciły na wietrze, deszczu i słońcu swój obowiązujący wdzięk a różne drewniane „kościoły Dyanny“ straszyły wylazłem spod tynku otrzcinowaniem. Wędrujący na Wschód podróżnik mógł wprawdzie zatrzymać się tu na chwilę i podumać „nad nieszczęściem Pameli albo Heloisy“, ale czyż to nas ma zaraz upoważniać do wysnuwania niesłusznych i krzywdzących wniosków?

Odrzućmy tę markę malarza rodzajowego, przyklejoną Norblinowi, redukującą jego pozycję i wartość. Marka ta jest zresztą wynikiem zupełnie niemalarskiego spojrzenia; trudno się bowiem zgodzić na oglądanie twórczości pod kątem programowości, odsuwającej na dalszy plan walory plastyczne. A te przecież odgrywają ogromną rolę, gdy chodzi o zrozumienie artysty. Jeśli temat zajmował rzeczywiście poczesne miejsce w jego twórczości, łączył się on podświadomie czy też świadomie z odpowiedniem traktowaniem, dając tem samem pełny, niesklamany wyraz.

Przyjrzyjmy się jednemu z najlepiej skomponowanych malowideł, zdobiących pałacyk ks. Izabeli Czartoryskiej. Jakie to wszystko dobrze wychowane, z jaką gracją gra i słucha! Nikogo nie razi klawikord postawiony na murawie, zwłaszcza, że jak przystoi ówczesnemu otoczeniu, nawet i drzewa ułożyły się z niesłychanym wdziękiem, nieledwie w jakiejś zastygłej pozie menueta, wyuczonego przez pana d'Aigny. Z lewej strony dyskretnie (jakżeby mogło być inaczej!) ukryty ogromny wazon, który się akurat tak ustawił, ażeby pod nim mogła siedzieć główna osoba kompozycji, podkreślona przez Norblina jasną plamą, wyraziście wybijającą się z tła. Jest to sposób, jakim artysta stale operuje w układaniu kompozycji, co wypływa z przywiązywania dużej wagi do światła. Scena taka musi mieć subtelny koloryt o złotawym podkładzie (nie zapominajmy o roli werniksów) i rzeczywiście go posiada. Technika malowania miękko wcierająca farby, a mamy całość utrzymaną tak w kompozycji, jak i w manierze oraz sposobie malowania zupełną i, nie wahajmy się użyć tego słowa — świetną. Dokument epoki, jeden z najcenniejszych i najcharakterystyczniejszych. A oto drugi, niemniej charakterystyczny, przedstawiający teatr kukiełek. Jakież to zupełnie inne! Coprawda widać tam i panie, przypominają one jednak bardziej ogród cucułowiecki, i to odwiedzany przez łaskawie dopuszczone sąsiedztwo, zasobne jedynie w zachwaszczony sad, aniżeli arkadyjskie damy, poprzebierane za kapłanki, przyjmujące zachwyconych a czasami także zażenowanych (szlachta-bracia) gości. Niemniej jednak z całego obrazu aż bije tęga rubaszność, daleka od rozmów, prowadzonych na powązkowskich kiermaszach. Mocne, proste wnętrze, prosta ławka, świetnie podkreślony brzuch jednej z postaci, a nawet błędnie narysowany chłopiec, patrzący z niekłamanym zachwytem na widowisko, jakiś nieledwie prymityw w sposobie malowania, rysunku, kolorze, sprawiają, że całość wywiera zastanawiające wrażenie. Nie bowiem w tej scenie niema z ukazywania rozbawionej elicie szlacheckich prostaczków, otwierających gęby na widok grających kukiełek. Jest to szczere wniknięcie w ten inny świat, żyjący poza parkanem magnackich rezydencyj.



J. P. Norblin „Koncert w parku“

A jaką siłą rozporządzał on właśnie, dają nam przykład dwa rysunki, będące wynikiem zetknięcia się artysty z Polską. Są niemi: „Pułkownik“ i „Kozak“. Wprawdzie na podstawie dociekań naukowych udowadnia się niemi pokrewieństwo ze starym mistrzem Casanovą, ale trud ten wydaje mi się najzupełniej zbędny, nie o układ bowiem chodzi, nie o to, że za główną postacią widać inne, mniejsze i nie o samą tematowość kompozycyj. Zupełnie drugorzędną rzeczą są szczegóły ubioru, ważniejszą i ciekawszą sprawą jest jakby nagłe cofnięcie się wstecz do linji rysunku, mającej wszelkie cechy baroku tak mocno i szczególnie związanego z kulturą polską. Poprostu nie chce się wierzyć, że ta sama ręka malowała np. grupę tancerzy na jednem z p a n n e a u x dekoracyjnych powązkowskiej rezydencji, a jednocześnie szkicowała takiego „pułkownika“. Tam wysmukła manieryczność wyciągała każdą postać ku górze, tu mamy pełną, pucułowatą bryłę. Albo porównanie wygładzonych dworskich postaci z nerwową linją figury „Kozaka“, przypominającą w swym charakterze niespokojne rzeźby, poustawiane na ołtarzach jezuickich kościołów.

Widzimy w tem zadziwiające, instynktowne dostosowywanie środków dla wydobycia właściwego wyrazu. Ani jednej fałszywej nuty. Ani jednego naciągania. Każde dzieło mówi swoim językiem, znać, że artysta nie mieszał towarzystwa, że albo przebywał w jednem, albo w drugiem.

Dlatego nie spotykamy w jego twórczości dzieł, któreby przedstawiały parodje Arkadyj czy Zofjówek, lub też dawały obraz przenoszenia gipsowych Wersalów na ubogie folwarki, jak to nam ilustruje np. żachowane w bibljotece Pawlikowskich we Lwowie płótno Kornela Szlegla, łączące rzetelny sarmatyzm, brogi, strzechy, skromną dziewannę ze zmanierowanemi drzewami, damą, przygrywającą na harfie i młodzieńcem, dmuchającym we flet.

Obrazek ten mówi wiele. Dosadnie maluje dwie odrębne kultury: harfy, fletu i układnej damy z brogiem, strzechą, dziewanną i owymi statystami, rozprawiającymi d e p u b l i c i s, albo o tem, co obrodziło, a co grad wytłukł. Nigdy bowiem, jak w tamtej epoce, nie było tak wyraźnego podziału, dwóch poprostu już nie środowisk, ale światów.

W którym z nich Norblin jest prawdziwy? Czy należy cenić wyszukanego dekoratora, uwieczniającego przeczuloną duszę ówczesnej sentymentalnej dworskości, czy też wrażliwego na przewalające się z dnia na dzień życie, z całą jego barwą, malarza?

Ci sami, którzy się dziwią wraz z cudzoziemcami odnajdowanej w większych środowiskach kulturze, za jedną z największych zasług Norblina poczytują założenie szkoły, wywodzącej się z podchwytywania tego drugiego świata...

Jedno duże nieporozumienie.

Wielka dama ówczesna równie źle się czuła na dziedzińcu swych niezliczonych folwarków, jak jakaś powiatowa wielkość z podgoloną głową — w świątyni Sybilli. Wszystko zaś na swojem miejscu było prawdą. Obowiązujący, modny konwenans tak już wszedł w błękitną krew, że wyciskał niekłamane łzy po śmierci Filusia. Utrwalanie go pendzlem było niemniej szczere, jak i notowanie karczemnej sceny. Dlatego nieprawdą jest, że istniało dwóch Norblinów. Był jeden, taki, jakie były czasy, w których żył. Sztuka jego jest cenna, ponieważ była współczesna.

Może to będzie lekcja [illegible] nas.

Alfred Jesionowski

Zapowiedź pierwsza

Osobny rodzaj literatury, na który u nas dotąd mało zwrócono uwagi, stanowi t. zw. literatura „rozrywkowa“, rodzaj, jaki reprezentują żółte tomy ullsteinowskie w Niemczech. Wydawnictwo Wegnera w Poznaniu zapoczątkowało przed kilku laty ten rodzaj literatury, wydało kilkanaście tomików, ale, jak się zdaje, książeczki te nie miały większego powodzenia, nie pisało i nie mówiło się nic o tem w prasie. Jeśli tomiki te istotnie nie miały większego powodzenia, to chyba nie ze względu na treść, ale dlatego, że były stanowczo za drogie. To, co się widzi w kioskach „Ruchu“ na dworcach jako tanią lekturę — to przeważnie ostatnie śmiecie, podejrzani autorzy zagraniczni w jeszcze bardziej podejrzanych tłumaczeniach, i bardzo niewiele książek takich, które budzą zaufanie. Polskich autorów tej literatury jest wogóle niewielu.

Świeżo mamy do zanotowania powieść autora młodego, pomorzanina z pochodzenia, która budzi uzasadnione nadzieje, że w Antonim Kawczyńskim zyskaliśmy pierwszorzędnego beletrystę. Pierwsze swoje dłuższe nowele drukował Kawczyński w „Kurjerze Poznańskim“, były to „Talizman“, później bardzo ciekawe opowiadanie p. t. „Łuna nad miastem“, a w ostatnim czasie nowele „Roman Selt zmienia pogląd na świat“ i „Przygoda w deszczu“. Nowele te cechuje duża kultura literacka, żywość akcji, umiar w szafowaniu efektami zewnętrznemi. Powieść, która się właśnie niedawno ukazała *), drukowana była wpierw w „Ilustracji Polskiej“. Pod względem fabuły przypomina ona powieści Dekobry, ale reprezentuje znacznie wyższą klasę literacką.

Autor uniknął szczęśliwie niemal wszystkich wad, jakiemi grzeszą i Dekobra i Mostowicz. Powieść nie jest nasycona brudem i dwuznacznościami, w jakich się lubuje autor francuski, nie dzieją się rzeczy nieprawdopodobne, bohaterowie nie są nad-ludźmi, jak u Mostowicza w podobnej pod niejednym względem powieści (Bracia Dalcz i Sp.), uzasadnienie psychologiczne postaci jest bardziej przemyślane. Nie potrafił zaś Kawczyński osiągnąć tego stopnia żywości akcji i napięcia zainteresowania, co autor „Braci Dalcz“. To jest niewątpliwie słaby punkt powieści Kawczyńskiego. Pozatem — trochę za dużo sentymentalności i przeidealizowania. Na szczęście nie tak, jak to spotykamy u popularnej już i u nas niestety pisarki niemieckiej, Courts-Mahler, której cukierkowatość przyprawia o mdłości. Dalszą zaletą powieści Kawczyńskiego jest dbałość o styl, czystą i poprawną polszczyznę. Podkreślam to dlatego, bo właśnie nasza literatura rozrywkowa roi się od grzechów językowych i stylistycznych, jest wzorem, jak nie należy pisać i mówić. Jakże przyjemnie uderza w powieści Kawczyńskiego brak płaskich konceptów, banalnych i głupich dowcipów, naciągniętych porównań, bezmyślnych nagromadzeń wszelkich superlatywów, jakiemi zazwyczaj autorowie tego rodzaju literatury grzeszą. Od dobrej, literacko wysoko wartościowej powieści różni się utwór Kawczyńskiego brakiem pewnego kośćca ideowego, starannego wykończenia szczegółów, pobieżnością szkicowania sytuacyj, brakiem sumienniejszego przemyślenia zagadnień. Powieść nie nastręcza wiele substratu do myślenia. Ale wnioskując z tej pierwszej dłuższej powieści, posiada autor wszelkie dane by przejść od powieści „lekkiej“ do utworu poważniejszego, powieści wykończonej, artystycznie wartościowej.

A teraz przejdźmy krótko do treści. Ewelina jest żoną wielkiego przemysłowca angielskiego, który pragnie unieruchomione kryzysem zdobycie nowych rynków i pewną operację bluffową, mającą wszelkie fabryki swoje puścić w ruch przez cechy oszustwa. Ze strony konkurencji nasłano na przemysłowca agenta, który poznaje kręte jego drogi i w momencie sfinalizowania wielkiej operacji finansowej, grozi odkryciem całego bluffu, o ile się przemysłowiec sam nie wycofa. Aby unieszkodliwić agenta i zyskać na czasie dla przeprowadzenia operacji, uprowadza ów przemysłowiec przy pomocy polskiego wykolejeńca Strubały, zresztą zacnego i szlachetnego człowieka, owego agenta. Agentowi jednak udaje się umknąć ze statku i w pościgu za nim doznaje przemysłowiec tak ciężkich obrażeń, że w następstwie tego umiera. Cała oszukańcza akcja wielkiego przemysłowca wychodzi najaw i Ewelina, dotąd otoczona zbytkiem, zmuszona jest rozpocząć życie skromne, w czem jej pomaga na śmierć w niej zakochany Strubała. Nić miłosna (Strubała — Ewelina) stanowi drugą część tej powieści, ciekawie pomyślanej i naogół dość zręcznie przeprowadzonej. Wady konstrukcyjne są widoczne, ale nie tak znaczne, by ich na przyszłość nie można było uniknąć. Z powieścią Kawczyńskiego (jeśli pominąć głośnego już dziś literata Jantę-Połczyńskiego) wkracza na pole polskiej powieści młode pokolenie Polski Zachodniej — i to także powód do szczerego zadowolenia.

*) Antoni Kawczyński: Mężczyźni dokoła Eweliny. Powieść współczesna. Wydawnictwo Polskie (R. Wegner) Poznań 1934, str. 255.



J. P. Norblin „Pułkownik“



J. P. Norblin „Kozak“